

[Wojciech Bauer, „Ayantiall” – fragment]

Gor-oni podążał wytrwale śladem obcych, a z nim sześciu najlepszych wojowników wioski. Od momentu gdy ich początkowo chaotyczna marszruta coraz wyraźniej poczęła zwracać się ku Rann-ia, nabrał pewności, iż odkrycie Zębów Góry jest jedynie kwestią czasu. Były widoczne dla każdego, kto podjąłby trud pokonania góry. Dlatego, kiedy obcy wyszli z puszczy na gołoborze, wysłał za nimi Mav-etta – młodego, bystrego chłopca, doskonale znającego las. Nikt tak jak on nie umiał podchodzić zwierza, nikomu z taką łatwością nie przychodziło wtapianie się w tło ostępów, gdy trzeba było zniknąć z oczu nieprzyjaciela. Na otwartej przestrzeni samotny zwiadowca miał więcej szans, grupę łatwiej wykryć. Gor-oni zapadł więc na skraju gęstwiny i czekał. Najpierw odprowadził wzrokiem malejące sylwetki intruzów, potem nie widział już nic, lecz wiedział, że za ich plecami przemyka wśród kamieni ktoś jeszcze.

Nie czuł wyrzutów sumienia, że ściga tych, którym niedawno sprzyjał, ba – zaraził się ideą, dał się omotać gładkimi słowami ich przywódcy, Rahe-dasa. Wyrocznią był ojciec, wielki strażnik Ug-dda, i do niego należało ostatnie słowo. Ojciec wiedział lepiej, co jest korzystne dla Unthena, i skoro uznał, że kamień powinien zostać u Nearrów, to Gor-oni przyjął ten wyrok za własny. Jemu nie wolno mieć innego zdania niż strażnik, bo ojciec posiadał mądrość wielu pokoleń strzegących ścieżki, a on miał ją przejąć i przekazać dalej, gdy i jego czas dobiegnie końca. Był wszak następcą.

Dlatego nie zaprotestował, kiedy Ug-dda polecił wojownikom pilnować przybyszów i zabić, gdyby trafili na ślad. Pokornie i bez szemrania objął dowództwo drużyny. Bowiem chociaż serce nadal wypełniała wdzięczność za darowaną wolność, od uczuć ważniejszy był ojcowski nakaz.

Tak go wychowano w owej wiosce, której misją była wieczna straż u początku ścieżki, a spośród mieszkańców wywodzili się jej czcigodni strażnicy i wyklęci powiernicy kryształu. Wieś Par-i od ellarów służyła Władcy Światła i tak powinno zostać na zawsze.

Świtało, gdy wrócił Mav-ett. Z jego twarzy Gor-oni wyczytał wszystko, zanim tamten zdążył się odezwać.

– Widzieli – usłyszał potwierdzenie swych domysłów.

Obejrzał się na wojowników. Stali gotowi do drogi, choć nie padł żaden rozkaz. Uśmiechnął się. To naprawdę byli najlepsi wojownicy. Nieważne, że oprócz nich w wiosce żyli jedynie starcy i podrostki. Wojownicy z Par-i zawsze byli najlepsi.

Kiedy dotarli na szczyt, nie znaleźli tam już nikogo. Gor-oni nie zmartwił się, wiedział, że obcy nie będą czekać. Nie sposób było pomylić trasę: białe iglice Threkhte-n-Uoso wyraziście ją wytyczały. A że znał las jak własną chatę, miał pewność, iż dotrze pod nie znacznie wcześniej niż zmuszeni do przedzierania się przez chaszczę simalu, nieobeznani w terenie eneikowie z kontynentu. Zdąży jeszcze odnowić zapasy powiernika, bo i taką nieprzyjemną misją obarczył go ojciec. Zwykle należało to do rodziny, lecz ponieważ Gor-oni i tak zmierzał w te strony, Ug-dda litościwie uznał, że można nieco ulżyć doli krewnych wyklętego. Więc zdąży to jeszcze uczynić, a potem założył sidła na najgrubszą zwierzynę, jaką los pozwolił mu dotąd upolować.

Ścieżka ukazała się niespodzianie, kiedy Irgowie już mieli dość zmagania z kłębowiskiem kolczastych gałęzi. Sądziło, że przeliczyli się z siłami, zakładając osiągnięcie celu przed wieczorem, gdy wśród obsypanego kwiatami i przepojonego oszałamiającym zapachem gąszczu pojawił się nikły, ledwie widoczny przesmyk. Wił się szeroko, omijał wykroty i zapadliska i ciągle wracał ku linii wytyczonej przez niedawno

przebyte górskie pasmo oraz wschodni kraniec kotliny, gdzie na zboczu – widoczne chwilami nawet stąd, z gęstwiny – wznosiły się trzy skalne kolumny. Nie mogło być wątpliwości, że ścieżka wiedzie w ich kierunku. Wkrótce znaleźli tego potwierdzenie: po kilku krokach Rahe-das zatrzymał eneików i wskazał na ziemię.

– Ślady – powiedział.

Podeszli bliżej. Na wilgotnej ściółce widniały odciski bosych stóp.

– Są przed nami – stwierdził Immi-wu.

– Jak dawno tędy przeszli? – Dedhi-ver, przysiadłszy nad tropem, końcami palców badał obrys śladu.

– Niedawno – odpowiedział Rahe-das. – Będą tam wcześniej niż my. Nie znamy krótszej drogi, a dalsza szarpanina z simalem zwiększy tylko ich przewagę.

– Co proponujesz?

– Pójdziemy za nimi. Teraz, gdy już wiemy, że są, nie damy się zaskoczyć.

– Nie mamy broni, prócz waszych garnagów. Dwa noże nie zrównoważą przewagi młotów czy toporów. I mogą jeszcze mieć łuki – zauważył marynarz.

– A my spryt. Poza tym uzbroimy się trochę. Na szczęście nie brakuje tu materiału na piki.

Wyszukanie trzech odpowiednio mocnych, długich i prostych kijów nie zajęło dużo czasu. Za pomocą garnagów Irgowie szybko uczynili z nich groźną broń – zastrugane z obu końców drągi przemieniły się we włócznie o dwóch grotach. Podobnych, okutych tylko żelazem lub mosiądzem, powszechnie używały regularne oddziały eneickiej armii.

Od razu poczuli się lepiej.

Ruszyli dalej, ostrożnie, świadomi grożącego niebezpieczeństwa. Tamci byli liczniejsi, Ug-dda nie zaryzykowałby niepowodzenia i z pewnością nie oszczędza swych podwładnych. Atutem przybyszów był tylko fakt, że

odkryli to wcześniej, niż Nearrowie się spodziewali. Tyle musiało im wystarczyć.

Zmierzchało, gdy dotarli do zbocza kotliny. Przed nimi ukazała się skalista rozpadlina, niby głęboko wyżłobione koryto wyschłego strumienia. Wznosiła się stromo ku krawędzi i rozcinała jednolity gąszcz simalu ukośną szramą. Ścieżka prowadziła wprost w nią. Wysoko w górze, gdzie koniec jaru sięgał grani, ciemniały niewyraźne, smukłe kształty. Idący w przodzie Rahe-das zatrzymał się.

– Co o tym myślicie? – wskazał mroczny wlot rozpadliny.

– Jeśli miałbym zasadzić się na kogoś, to tylko tutaj. To chyba jedyna droga... – Immi-wu popatrzył na brązowo-żółtą stromiznę, która otaczała wąwóz. Nie przejdziemy, wystrzelają nas tu bez trudu. Nie muszą nawet podejmować walki, trzy celne łuki załatwią sprawę – poparł go Dedhi-ver.

– W dzień... – rzucił obojętnie Rahe-das.

Obaj towarzysze jednocześnie zwrócili głowy ku niemu.

– Masz jakiś plan? – zapytał Dedhi-ver.

– Nie... tylko myślę, że zasadzka może udać się jedynie wtedy, gdy widzi się przeciwnika.

– A zbliża się noc... – zrozumiał Immi-wu.

– Właśnie.

– Co z tego? Nie znamy tej ścieżki. Oni są u siebie i na pewno nie pierwszy raz biorą udział w górskich podchodach – Dedhi-ver z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Widzisz inny sposób? – marynarz był już zdecydowany.

– Nie, ale...

– A jeśli założymy, że oni myślą tak samo? – wpadł mu w słowo Rahe-das.

– To znaczy...? – zainteresował się Immi-wu.

– Jeżeli przyjmujemy, że Nearrowie zdają sobie sprawę, iż w ciemnościach możemy przejść niezauważeni, to pomyślny,

co powinni uczynić...?

– Muszą wiedzieć, że to dla nas jedyna szansa – dodał Immi-wu.

– Jeśli więc nie zjawimy się ani tej, ani następnej nocy, chyba nie będą czekać w nieskończoność.

– Wyślą zwiadowcę.

– Zwiadowca zniknie...

– Wyślą kolejnego lub ruszą się wszyscy.

– Wówczas my na nich poczekamy.

– Będą ostrożni, jeżeli zwiadowcy nie wrócą – wtrącił Dedhi-ver.

– Ten jar jest równie niebezpieczny dla nich, jak dla nas. W dodatku, jeżeli rzeczywiście tam są, nie będą mieli innej drogi. Muszą iść dnem wąwozu.

– Pod warunkiem, że jest to rzeczywiście jedyna droga. – Dedhi-ver wyraził wątpliwość tylko dla zasady. On również zdał sobie sprawę, że to ich największa szansa. Jeżeli nie potwierdzą się założenia Rahe-dasa, pozostanie próba przedarcia się desperackim atakiem, na powodzenie którego raczej nie było nadziei. No, mogli jeszcze zawrócić...

Weszli w wąwóz. Panowała tu już zupełna ciemność, tylko w górze, nad krawędziami zboczy, jaśniał granatowo wąski pas wieczornego nieba. Kamienista ścieżka pięła się między stromymi ścianami, pełnymi załomów i pęknięć. Nad głowami idących wisały odspojone szczapy skały, które jakby tylko czekały, aby zwalić się w dół, gdy cokolwiek zakłóci ich chwiejną równowagę.

Nie chcieli zapuszczać się za daleko, wojownicy Nearrów mogli oczekiwać gdzieś w pobliżu. Na pierwszym zwężeniu Rahe-das pokazał na przegradzające szlak rumowisko.

– Tutaj – powiedział szeptem.

Skryli się między kamieniami i zamarli w bezruchu. Czekał ich teraz olbrzymi wysiłek, większy niż

najmozolniejsza praca: nieruchome, bezsenne czekanie.

Pierwszy zjawił się tuż przed świtem, gdy Irgowie mieli za sobą noc, dzień i kolejną noc czuwania. Szedł tak cicho, że Immi-wu, ukryty najwyżej, zauważył go, kiedy ten mijał go w odległości trzech kroków. Właściwie widział go wcześniej, tylko działo się z nim coś dziwnego: jakby wyłączyły się zmysły, jak gdyby zastygły wraz z ciałem. Nie, nie spał, po prostu przestał rejestrować bodźce z otoczenia, nie reagował na nie. Teraz z trudem odwracał głowę za przechodzącym, usiłował śledzić jego ruchy i, trzeźwiejąc, modlił się w duchu, aby towarzysze nie przegapili go tak jak on – ostrzec ich już nie mógł. Jednak Zabójcy byli widocznie twardsi: usłyszał cichy szelest i prawie równoczesny, wysoki krzyk. Zobaczył, jak wojownik Nearrów padł, uderzył głową w kamień i nie poruszył się więcej.

Rahe-das i Dedhi-ver wyszli z rumowiska na ścieżkę.

– Immi-wu! – marynarz usłyszał ciche wołanie.

Poszedł do nich pełen poczucia winy. Sam się przecież ofiarował jako obserwator. Ufał w swoje siły; życie go wszak nie oszczędzało, morze nie jest dla miękkich, a tu...

– Spałeś? – w głosie Rahe-dasa nie było wyrzutu. Pochylony nad zabitym odwiązywał właśnie kołczan z jego pleców.

– Nie... Nie wiem, co się ze mną stało. Wpadłem w jakiś trans, jak gdyby mózg mi zdrętwiał!

Rahe-das kiwnął głową.

– To normalne. Potrzeba wiele ćwiczeń woli, by trwać tak długo nieruchomo i nie zasnąć.

– O mało mnie nie nadepnął, a ja nie mogłem się ruszyć!

– Jak czujesz się teraz? To jeszcze nie koniec, może nawet nie połowa; musimy poczekać na pozostałych... Chcesz, to zmieni cię Dedhi-ver? On przeszedł szkołę ogaani, każdy w Bractwie ją przechodzi. Czekanie to sztuka, nowicjusze uczą

się jej prawie całe kari.

– Dam sobie radę – Immi-wu postanowił poprawić nadszarpiętą reputację. – To już się nie powtórzy, możesz mi wierzyć.

Rahe-das uśmiechnął się nieznacznie.

– Dobrze, spróbuj. Tylko pamiętaj, że tym razem błąd może kosztować więcej. Jeśli nadejdą wszyscy...

– Dam sobie radę – powtórzył marynarz.

– Teraz odpocznij i zjedz coś – Rahe-das przysiadł na kamieniu i otworzył sakwę. – Mamy chwilę spokoju. Nearrow nieprędko zaniepokoi nieobecność zwiadowcy. Aha, weź ten łuk, przyda ci się. Umiesz strzelać?

– Oczywiście – Immi-wu wziął bron z rąk Zabójcy. – Nawet dość dobrze.

– Na pewno będziesz miał okazję to udowodnić. Trochę się prześpij. Obudzimy cię, kiedy będziesz potrzebny. Potem znowu się postarasz zmienić się w skałę.

Tym razem nie dał się zaskoczyć. W przedwieczornym zmierzchu najpierw dojrzał jednego, jak przemukał po stoku niczym cień, a zaraz potem drugiego po przeciwnej stronie ścieżki. Cicho ćwierknął. Nearrowie byli czujni – jeden z nich, ten, który skradał się bliżej marynarza, przystanął i szybko się rozejrzał. Ale nocnych grajków tsikko często słyszało się na Ovili, choć pora była trochę zbyt wczesna; ich koncert rozpoczynał się zwykle po północy. Nearr na szczęście nie zwrócił na to uwagi, bowiem podjął ostrożną wędrowkę wśród kamieni, jak gdyby nic się nie stało.

Immi-wu pozwolił im przejść. Wiedział, że Zabójcy, ostrzeżeni jego sygnałem, już na nich czekają. Patrzył za Nearrami założywszy strzałę na cięciwę łuku, tak na wszelki wypadek, bo nie wierzył, że współnicy mogą zawieść. Jeszcze chwila i zobaczył dwa błyski. Noże pomknęły do celu. Uśmiechnął się z podziwem. Bracia Zabójcy działali precyzyjnie. Podniósł się, by zejść ku leżącym już nieruchomo

ciałom, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch za sobą. Odwrócił się błyskawicznie i w tym momencie oszołomiło go silne uderzenie w kark. Oczy zasnuła mu czerwona mgła. Upadł na ziemię. Poczuł, że świadomość mrowiącym dreszczem ucieka w niebyt.

Ocknął się, gdy było już zupełnie ciemno. Nie odczuwał bólu. Był tylko odrętwiały, nie mógł się poruszyć ani wydobyć głosu. Coś silnie uciskało go w kark, jakby ściągała mu skórę jakaś olbrzymia narośl. Pulsowało w niej mocne tętno, od którego ciało nabrzmiewało rytmicznie niby od nadmiaru tłoczzonej krwi. Przeraził się: dokoła panowały mrok i cisza. Wydało mu się, że pozostawiono go samego, porzucono na pastwę dzikich hangów. Poczuł, że musi coś zrobić, dać znak, że żyje, inaczej ta ciemność będzie świadkiem jego żalosnej, bezbronnej agonii. Jęknął.

– Oho, nasz przyjaciel przychodzi do siebie – usłyszał głos i szelest nad głową.

W polu widzenia pojawiła się sylwetka Rahe-dasa. Zabójca stanął nad leżącym.

– Jak się czujesz? – zapytał. – Solidnie ci się dostało. Miałeś szczęście, że nie trafił cię w głowę. Młot rozbiłby ci czaszkę.

– Co... to... było...? – wystękał Immi-wu.

– Twój błąd, przyjacielu. A po trosze i nasz – odpowiedział Rahe-das. – Nie domyśliłeś się, że wraca cały oddział, a ci dwaj to tylko wysłana przodem czujka. Muszę przyznać, że ja również o tym nie pomyślałem. Ale najbardziej ucierpiełeś ty, dałeś się podejść jak młokos.

– A... wy?

– Gdy zginęli zwiadowcy, Nerrów zostało tylko czterech. Z tyłoma można sobie poradzić. Jeden uciekł, to był chyba Gor-oni, reszta już pochowana.

– Nic... się wam... nie stało?

– Dedhi-ver odniósł lekką ranę, dźgnięto go piką w

zebra. Gorzej z tobą. Wygląda, że złamali ci obojczyk. Kto wie, czy to uderzenie nie naruszyło także płuc, bo krwawisz z ust.

– Czuję się... jakbym... cały opuchł...

– Bo tak jest, kark masz jak irman. Mówiąc prawdę, nie wygląda to najlepiej. Opatrzyłem cię, ale to za mało. Dedhi-ver zna się na ziołach, rano pójdziemy czegoś poszukać. Teraz poleż spokojnie i nic już nie mów. Nasza wyprawa skomplikowała się trochę, jutro zdecydujemy, co dalej. Nie nadajesz się do wędrówki, a długo tu zostać nie możemy. Nearrowie nie...

Dalszego ciągu Immi-wu już nie usłyszał. Świat odpłynął raptownie, a jego pochłonęła ciemność.

Rahe-das wspinał się po ścieżce wijącej się coraz bardziej stromo. Szedł sam. Immi-wu był poważnie chory, musiał zostawić go pod opieką Dedhi-vera. Ukryli się w grocie, którą znalazł Dedhi-ver podczas wyprawy po zioła. Była sucha i przestronna, a co najważniejsze, niewidoczna z wiodącego ku Zębom Góry szlaku. Mieli w niej czekać na powrót Rahe-dasa, postanowiono bowiem, iż Geue sam uda się do sanktuarium Władcy Światła. Teraz, gdy na drodze nie stali już zbrojni strażnicy, pozostało przekonać powiernika o obowiązku oddania Irgom kamienia. Do tego nie potrzebował pomocy.

Niewiele drogi miał do przebycia; trójząb Threkhte-n-Uoso kłuł niebo tuż nad jego głową, lecz nie łudził się, że dotrze tam przed południem. Ostatni odcinek ścieżki stopniowo przemieniał się w prawie pionową ścianę. Wspinaczkę umożliwiały napotykanne co jakiś czas zwały skalnych bloków. Jakby celowo zrzucono je z góry, aby wtajemniczonym ułatwić podejście.

Tuż pod granią kończył się pas krzewów, które poniżej gęsto porastały brzegi rozpadliny. Wyżej były już tylko gołe

skały. Strzeliste ostrza wyrastały wprost z nich. Przywodziły na myśl rozczapierzone, smukłe, białe palce, sięgające z głębi ziemi ku obłokom. Z bliska sprawiały wrażenie większych, niż były w rzeczywistości. Rahe-das nie potrafił odpędzić instynktownej obawy, że z wolna pochylają się nad przepaścią i lada chwila runą, grzebiąc śmiałka, który odważył się tu przyjść. Wiedział, że to złudzenie, że to obłoki wywołują efekt ruchu potężnych iglic, lecz sugestia była tak silna, że odruchowo wtulił głowę w ramiona. Ze wzmożoną energią podjął wspinaczkę. Zapragnął jak najszybciej wyzwolić się z objęć ogarniającego go strachu, gdy patrzył w dół za siebie i kiedy spoglądał w górę.

Południe zastało go pod okapem wieńczącym wylot jaru. Wysunięta nad ścieżką szeroka, spłaszczona półka przegrodziła drogę i udaremniła dalszą wędrówkę. Pokonanie jej wydawało się niemożliwe, chyba że przemieniłby się w owada. Zaczynało ogarniać go zniechęcenie, gdy uświadomił sobie, że owadami nie byli także Nearrowie. Przecież i oni tędy chodzili. Gdzieś tam, na wierzchołku, mieszkał powiernik kryształu, który musiał jeść, pić i czasem odezwać się do kogoś. Omiótł wzrokiem wiszący nad głową gład. Gładką, wyslizganą płaszczyznę na prawo od miejsca, gdzie stał, przecinało czarne pęknięcie. Nawet niedaleko, tyle że dzieliło go od niego z dziesięć kroków płaskiej, pionowej ściany. Dołem płaszczyzna załamywała się, tworząc szeroki na pół stopy występ. Przybliżył się i ostrożnie postawił na nim nogę, a potem, przytulony do skały, począł wolno posuwać się w stronę szczeliny.

Niespodziewanie okazało się, że nie jest to takie trudne. Nad występem odnalazł małe wnęki dla stóp, zaś na wysokości piersi szereg zagłębień doskonale pasujących do dłoni. Ktoś zadał sobie wiele wysiłku, aby te ułatwienia nie były widoczne ze ścieżki. Gdyby ktokolwiek trafił tu przypadkiem, nie znalazłby przejścia i pewnie zniechęcony zawróciłby. Rahe-das

nie trafił tu przypadkiem. Dlatego szedł teraz uczepony pionowej płaszczyzny, wisząc jak owad nad kilkunastostopowym urwiskiem i z łatwością odszukując stabilne, dobrze rozmieszczone punkty oparcia. Po kilku chwilach dotarł do szczeliny. Była szersza, niż przypuszczał, kiedy przyglądał się jej ze ścieżki. Wsunął się w ciemne, wilgotne wnętrze. W górze nad nim jaśniała smuga nieba. Namacał nogą stopień, a dalej następny i następny.

Wydostał się na tonący w słońcu płaski taras, opasany kręgiem dziwacznych, grzybiastych skałek. Wyglądały jakoś nienaturalnie w otoczeniu ostrych, poszarpanych turni. Jakby sztucznie wstawiono je – obłe, wygładzone przez wiatr i deszcz – między ostrokatne bloki, których nie naruszyła niszczyielska moc natury. Spośród nich, naprzeciwko szczeliny, którą Zabójca przed chwilą opuścił, piętrzyły się wysmukłe kolumny Threkhte-n-Uoso.

Rahe-das uczył dreszcz emocji. Zdumiał się; zdawało mu się dotąd, że zdążył oswoić się z wrażeniami, jakich dostarczała mu jego misja. Widocznie zbliżenia z dziećmi Ayantialla nie były przeżyciami, do których można przywyknąć.

Przeszedł przez taras i zapuścił się między kamienne grzyby. Doszedł do podstawy Zębów i nagle zatrzymał się. Zaskoczył go niezwykle widok: tuż za iglicami, przyklejony niemal do ich podstawy, wznosił się duży, wykonany ze skalnych płyt, regularny prostopadłościan. Tego elementu nie było w żadnym ze świętych miejsc, które Irga odwiedzał.

Obejrzał budowlę ze wszystkich stron. Trzy ściany były gładkie i ślepe. Dopiero w czwartej, tylnej, Rahe-das na wysokości głowy zobaczył ciemny, wąski otwór. Zbliżył się i zajrzał do środka. Początkowo nic nie dostrzegł, dla nienawykłych oczu mrok był nieprzenikniony. Ale już po chwili zaczął rozróżniać w głębi pomieszczenia niewyraźne kształty. Wydało mu się, że coś się tam poruszyło. Wspiąwszy

się na palce wsunął głowę do środka.

Cofnął się jak oparzony. Na wprost niego ukazała się blada, potworna twarz okolona skoltunionymi włosami. Boleśnie uderzył potylicą w obramowanie otworu i oszołomiony przewrócił się na ziemię. Patrząc z niedowierzaniem na wyzierającą z wnętrza budowli upiorną maskę, z której spoglądały na niego płonące, obłąkane oczy. Jej usta poruszały się szybko, ni to w spazmatycznym oddechu, ni w bezgłośnie, niezrozumiałej mowie.

– Ktoś... ty? – wykrztusił z trudem. Gardło miał suche, jakby wdychał żar paleniska.

Nie otrzymał odpowiedzi. To coś – upiór czy eneika – ciągle patrzyło na niego, przewiercało go wzrokiem na wylot.

– Ktoś ty? – powtórzył już pewniej. Poczul, że wraca odwaga. Strach to przecież uczucie niegodne Zabójcy Smoków, nawet wobec upiora.

– As-daunn, powiernik... – dobiegł go cichy głos.

Myślał, że się przesłyszał.

– Kto? – spytał jeszcze raz, podnosząc się z ziemi.

– Powiernik kryształu...

– Jesteś powiernikiem Unthena?! – nie mógł w to uwierzyć. Spodziewał się wszystkiego, sens słów Nearrow, gdy mówili o powierniku, dawał do myślenia, ale to...

– Powiernikiem... – jak echo powtórzył eneika.

– Dlaczego jesteś zamknięty?

– To obowiązek powiernika... As-daunn strzeże daru Trror-uda...

– Zamurowany?!

– Tak kazał bóg-eneika... Ojcowie strzegli i dziadowie... dawno, całe ellary... Strażnicy dbają... wodę noszą i jadło... Ścieżki pilnują przed intruzami... A As-daunn strzeże...

– O czym mówisz, nieszczęsny? Trror-ud kazał gnić powiernikowi w zamurowanym lochu? Powiernictwo to najszczytniejsza funkcja, to kapłaństwo!

– Trorr-ud dał Nearrom Władcę Światła i kazał strzec... pilnie strzec, by nikt nigdy nie dotknął jego świętego daru. I nikt go nigdy nie skala, Nearrowie znaleźli sposób...

– Czy wiesz, co mówisz? To bluźnierstwo przeciw boskim prawom! Nie Trorr-ud dał wam ten kamień, to tylko część, odłamek boskiego Ayantialla. On był darem boganeiki. Nearrowie otrzymali Unthena na przechowanie, aby mogła się ziścić idea scalenia zniszczonego przez siły zła Władcy Wszechrzeczy. Czy naprawdę nic o tym nie wiesz?

Spojrzenie powiernika uciekło w bok, jakby spłoszone słowami Rahe-dasa. Eneika długo milczał.

– To kłamstwo... – wyszeptał w końcu. – To zbrodnia... Nie wolno tego powtarzać... To zakazana legenda! – zamilkł. – Skąd znasz tę legendę, obcy? – zapytał niespodziewanie po chwili. – To tajemnica powierników, tylko my w nią wierzymy. Strażnicy nie wierzą... Nie jesteś powiernikiem, nie jesteś strażnikiem, skąd ją znasz?

– Tajemnica powierników?... Coście zrobili z najświętszą relikwią, z podstawą wiary eneików... Kłamstwo? Legenda? Zbrodnia?! Tym jest dla was Ayantial? Bajką z przeszłości, w którą można wierzyć lub nie? Teraz rozumiem, co Ug-dda... Nie jesteście godni, by mienić się eneikami, bando prymitywnych zwierząt! – zabrakło mu tchu. Siedział ze spuszczoną głową i bezmyślnie patrzył na żwir pod stopami.

– Kim jesteś, obcy? – zapytał As-daunn.

Podniósł głowę.

– Jestem Rahe-das, Zabójca Smoków. Przybyłem z Loinu.

– Z Loinu? – nagły błysk zapalił się w oczach powiernika. – Po co?

Spojrzał na wynędzniałe oblicze Nearra, rozjaśnione i pełne oczekiwania.

– Nadszedł czas... – powiedział dobitnie.

– Czas... Więc to my, powiernicy, znaleźliśmy prawdę... Nie

strażnicy... Nie oni! My! – Okrzyk uwięzionego odbił się echem wśród skał. Głowa zniknęła na moment, po czym ukazała się znowu. – Uwolnij mnie, słyszysz, obcy? Uwolnij!

Rahe-das zerwał się na nogi.

– Jak?

– Tu, pod otworem, ściana jest cieńsza... Mur świeży, tędy wprowadza się powiernika, a potem zamurowuje. Tutaj... – szeptał gorączkowo powiernik.

Irga wyszarpnął zza pasa zdobyczny młot.

– Odsuń się! – z rozmachem uderzył w brzeg otworu.

Mroczna cela była niemal pusta. Po prawej dostrzegł legowisko ze zgniłej słomy, a naprzeciwko kamienny postument. Na lewo piętrzył się stos krótkich, splątanych gałęzi, przetkanych jednakowej wielkości krągłymi kamieniami. Zaciekawiony podszedł bliżej.

To nie były gałęzie. I nie kamienie. Leżała przed nim sterta brązowych kości, spomiędzy których szczyrzyły zęby dziesiątki czaszek.

– Co to jest? – zapytał, ogarnięty zgrozą.

– Chodź, chodź, kamień czeka... – Nearn szarpnął go za rękaw. – To powiernicy... Nie ruszaj, tam pod spodem... tam ostatni... Chodź już!

Dopiero teraz zidentyfikował ów słaby, nieuchwytny zapach, unoszący się nad zwałowiskiem. Fetor rozkopanego grobu, z nie do końca rozłożonym ciałem. Cofnął się gwałtownie. Poczul wzbierające mdłości.

– Unthen czeka... – usłyszał ponaglenie powiernika. Odwrócił się.

As-daunn stał przy postumencie, w dłoni trzymał skórzany woreczek.

– Zabierz go, obcy, niech wróci do braci... Nadszedł czas...

Irga ostrożnie wziął sakiewkę, starając się nie dotknąć pokrytych ropiejącymi wrzodami rąk powiernika.

– Jeszcze zakłęcie... – Nearn nachylił się ku niemu. – Niech odejdzie razem z kryształem...

– A co z tobą? – spytał.

– Ja... tu muszę... Tu moi przodkowie – As-daunn wskazał na stos szkieletów. – Oni teraz szczęśliwi, ich jest prawda... I ja... Oni wierzyli, wszyscy wierzyli, choć to zbrodnia wierzyć. As-daunn doczekał... Teraz może umrzeć.

Podszedł do legowiska i położył się.

– Idź już, Rahe-das – powiedział.

Wyszedł na zewnątrz. Słońce świeciło jasno, przeganiało wspomnienie tego, co przed chwilą przeżył. Jak gdyby przekroczył granicę dwóch światów.

Rozwiązał worek. Zabłąkany promyk Rotha wpadł do środka i rozjaśnił refleksem czarną bryłkę Unthena.

– Spalimy wieś – powiedział ponuro Rahe-das.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odezwał się Immi-wu z posłania. – Wzbudzimy tylko nienawiść, będą nas ścigać. Lepiej idźmy na wybrzeże, czas się stąd wydostać. Masz już przecież, co chciałeś.

– Ukarzemy bluźnierców – Zabójca jakby go nie słyszał. – To nasz obowiązek.

– Przecież to nie ich wina, nie oni to wymyślili. Tak ukształtował się kult Unthena, ukarż cienie ich przodków!

– Nie mieszaj się do tego, to sprawa moja i Dedhi-vera. Musimy strzec czystości wiary, od tego jesteśmy. I nie nam zastanawiać się, czy jest to sprawiedliwe. Trorr-ud osądzi.

– Ale ja... także nie wiem... – wtrącił cicho Dedhi-ver.

Rahe-das zachnął się wzburzony.

– Jesteś Zabójcą, Dedhi-ver, nie zapominaj o tym! – warknął. – Zresztą, gdybyś tam był...

Zapadło milczenie. Przerwał je Rahe-das:

– Immi-wu zostanie tutaj. To dobre miejsce, nikomu nie przyjdzie do głowy szukać w pobliżu Zębów Góry. Postaraj się

wyzdrowieć przynajmniej na tyle, by móc iść. Dedhi-ver zostawi ci zioła do okładów i gotowy napar. Wiesz już, jak go stosować, będziesz leczył się sam. Lepiej, żebyś był sprawny, prawdopodobnie trzeba będzie uciekać. Nie wrócimy wcześniej niż za siedem, może osiem dni, czasu jest więc wystarczająco dużo.

– Zastanów się jeszcze, Geue...

– Dość! – Rahe-das przerwał mu stanowczo. – Wyjdziemy jutro o świcie. Jeśli za dziesięć dni nas nie będzie, nie czekaj, ruszaj na wybrzeże. Może uda ci się opuścić wyspę.

– Dziesięć dni? Niewiele zostawiasz sobie rezerwy, Rahe-das.

– Wystarczy. Nie musisz się obawiać, jeżeli wszystko pójdzie, jak należy, zdążymy na pewno. Aha, żywność masz tutaj, gorzej z wodą. Zrobiłem bukłak, zostawimy ci go. Gdy skończy się w nim woda, będziesz musiał iść do strumienia. Oszczędzaj ją więc, dopóki nie zdołasz wstać. Teraz śpijmy, dość dyskusji.

– Nie podoba mi się to wszystko – mruknął do siebie marynarz, gdy towarzysze ułożyli się do snu. – Skąd w nim tyle nienawiści?

Sześć dni minęło, odkąd Zabójcy opuścili jaskinię. Immi-wu czuł się znacznie lepiej, po części dzięki ziołom Dedhi-vera, które stosował sumiennie według jego wskazań. Po części, gdyż główną zasługę Immi-wu mógł przypisać sobie, a raczej swemu młodemu i silnemu organizmowi. Od dwóch dni wychodził przed jaskinię, skąd kierował wzrok ku północy – najpierw mimowolnie, potem z niepokojem. Ciągłe nie mógł doczekać się świadectwa, że wyprawa Rahe-dasa osiągnęła cel. Gdyby bowiem im się powiodło, zobaczyłyby to od razu. A niebo nad lasem wciąż było czyste.

Ogień! Pomarańczowe, zwinne języki buchały snopami

iskier; las grzmiał hukiem pękających pni, trzaskiem łamanych gałęzi, jęczał głosami palonych żywcem zwierząt, tętnił paniczną ucieczką tych, którym się udało. Woń pożaru: duszący, dławiący oddech swąd zetlonych roślin i spalonych ciał. Dym burym obłokiem otulał pogorzelnisko, po którym przeszły niszczycielskie płomienie. Las w morzu żywiołu.

Wśród pierzchających stad nie było nienawiści, stłumiło ją uczucie strachu i chęć przeżycia. Tu obok siebie gnali na oślep drapieżcy i ich ofiary, a między nimi rozumne istoty, które dotąd mieniły się władcami tego lasu. Teraz nawet one – a może przede wszystkim one – stanęły bezradne w obliczu oszalałego ognia, przed którym ratunkiem była tylko ucieczka.

Pożar ogarniał las ognistym kręgiem, rozprzestrzeniał się na podobieństwo kolistej fali. Krąg załamywał się, gdy czoło ognia docierało do nagich skał, wypaliwszy uprzednio otaczającą je zielen. Komu udało się dotrzeć do skalistych grzbietów, ten mógł uważać się za ocalonego. Na tych nagich wyniosłościach, na graniach otaczających dolinę, skupiły się zbiegłe z pożogi stworzenia, by z bólem i strachem obserwować zagładę rodzinnej puszczy. I widziały, jak front płomieni przesuwają się łukiem po zboczach, jak zostawia za sobą czarną, dymiącą pustynię, jak osiąga przeciwległy horyzont pod kanciastą linią szczytów i nasycony, ociążały z przejedzenia z wolna zamiera, pochłonięwszy wszystko, co mógł strawić jego ognisty brzuch.

Dwaj eniekowie siedzieli wśród kamieni i ciężko dyszeli po morderczym wysiłku. Spoglądali za siebie, na drogę, którą przebyli, uciekając przed ogniem, do niedawna kwitnącą i zieloną, a teraz przemienioną w posępne, otulone dymem popielisko. Pożar wygasł. Jeszcze tliły się nagie kikuty drzew, co jakiś czas buchały płomieniami sterty spalonych gałęzi, lecz gorejąca ściana, która do tej pory sunęła przez dolinę, rozpadła się na skraju gołoborza. Obok nich przemykały zwierzęta: ogłupiałe, wyzbyte lęku. Wbrew instynktowi niemal ocierały

się o nogi swych najpotężniejszych wrogów. Eneikom jednak ani w głowie była myśl o łowach.

– Tego chciałeś? – głucho zapytał Dedhi-ver, nie odwracając głowy.

Rahe-das nie zareagował od razu. Nieruchomym wzrokiem patrzył w dal na czarną plamę spalonego lasu.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – powiedział po chwili.

– Ja wiem, że to nie miało sensu, wiedziałem od początku. Coś we mnie rośnie, im bardziej zagłębam się w to wszystko, im bardziej zbliżam się do ostatecznego celu. Tego nie było, gdy odzyskiwałem Yorvilla. Zaczęło się na wyspach, u Vhorów. I rośnie cały czas... Już nie ma we mnie tolerancji, za coraz mniejsze uchybienia wobec idei Ayantialla jestem gotów zabijać. I mam świadomość, że to jeszcze nie koniec, przecież zdobyłem dopiero trzeci kamień... Co będzie, gdy przyjdzie mi zdobyć następne? Boję się, że poddam się bez reszty tej nienawiści, że zupełnie nade mną zapanuje, a to może zniweczyć plan. Tak, wiem o tym doskonale, i co z tego? Ona jest silniejsza ode mnie...

Dedhi-ver spojrzał na niego zaskoczony.

– Więc to tak? Myślałem...

– Będiesz mi potrzebny, bracie – przerwał mu Rahe-das.

– Czuję, że teraz wiele może zależeć od ciebie. Gdyby zaślepiło mnie kiedyś do końca, ty przejmiesz moją misję. Będę się starał zachować trochę dystansu. Jeśli zdołam, zawsze cię uprzedzę. W przeciwnym wypadku musisz działać sam. Bardzo na ciebie liczę, Dedhi-ver, nie wolno nam zmarnować szansy...

– To może być trudne... Jeżeli pozwolisz opanować się nienawiści do wszystkiego, co stanie ci na drodze, także mnie uznasz za wroga. Co wtedy?

– Nie wiem, Dedhi-ver, nie wiem... Zostawmy to przyszłości. Chodźmy już, Immi-wu nie będzie czekać, sam mu to nakazałem.

Eneikowie powstałi z ziemi i szybko ruszyli na południe.

Wiatr zataczał koła na pogorzeliśku, wzbijając wiry popiołów. Kręcił nimi wśród zwęglonych pni, omiatał z czarnego pyłu kikuty rusztowań, z których ogień zdarł poszycie. Chmura popiołu przesłaniała czasem klęczącą pośrodku spalonej wioski usmoloną i oblepioną błotem istotę. Gor-oni wrócił tu, jak tylko wygasły płomień. Czego chciał? Wszak nie mógł już znaleźć tutaj nikogo; ci, którzy tak jak on mieli nogi szybsze niż pożar, rozproszyli się po górach, pozostałych pochłoniął żywioł. Gor-oni nie przyszedł, by ich szukać. Wrócił ukorzyć się przed Trorr-udem.

Był winien. Czuł na sobie ciężar odpowiedzialności za to, co się stało. Jego sprzeniewierzenie ściągnęło na wieś gniew boga-eneiki. Jak mógł tak łatwo odrzucić prawdy przodków, które wpoił mu jego czcigodny ojciec, Ug-dda? Jak mógł uwierzyć przybłędzie, przyjąć za prawdziwą legendę, którą głosił – legendę tożsamą z kanonem wiary powierników? Rozgniewał boga. Na nic zdała się późniejsza uległość ojcu, bowiem nie uczynił tego z wewnętrznego przekonania, lecz z nawyku podporządkowania patriarsze rodziny. W duchu wierzył Rahe-dasowi, nakaz ojca nic tu nie zmienił. Na dodatek nie wykonał zadania. Dał się pobić, pozwolił obcym zdobyć ścieżkę, otworzył im drogę do Unthena. Oddał go... I Trorr-ud postanowił udowodnić przeniewiercy, kto ma rację. Udowodnił, że wiara we wskreszenie Ayantialla jest bluźnierstwem, udowodnił w straszny sposób: ogniem. Gor-oni nie wątpił, że wybuch pożogi, która zniszczyła Par-i i całą dolinę, był efektem gniewu Trorr-uda. A jednak, jak na ironię, właśnie Gor-oni zdołał umknąć. Dlatego wrócił, uświadomiwszy sobie, iż boski gniew nie wygaśnie, dopóki nie dosięgnie prawdziwego winowajcy. Wrócił, aby umrzeć.

Wstał. Rozejrzał się wokoło. Okolica niezbyt nadawała się do wypełnienia tego, co sobie postanowił. Nieliczne

wypalone drzewa sterczały z pogorzelska, żadne z nich nie mogło mu służyć pomocą. Ruszył przed siebie, brodząc po kostki w miałkim, gorącym pyle. Pod stopami z trzaskiem pękały zwęglone gałęzie, spomiędzy których gdzieniegdzie sączyły się smużki siwego dymu. Podeszwy miał poparzone, lecz nie czuł bólu. Szedł ogarnięty jednym pragnieniem: skończyć jak najszybciej, poddać się wyrokowi Trorr-uda. Stał pod grubym pniem galii, pokrytym popękana, czarną korą. Tak, to drzewo było odpowiednie. Rozłożyste, nagie gałęzie wisiały nisko, bez trudu mógł się na nie wspiąć.

Nie zawahał się. Usiadł okraciem na konarze, odpasał linę, którą był przewiązany, po czym umocował ją przed sobą. W pętlę na drugim końcu włożył głowę, zaciągnął sznur. Potem stanął na równe nogi i oparł się plecami o pień. Spojrzał na północ. Chmury płynęły nisko, zasłaniały widok.

– Wybacz, Trorr-ud! – zawołał i skoczył.

Gałąz ugięła się pod ciężarem, lecz wytrzymała. Dopiero gdy kopiące powietrze nogi zwisły bezwładnie, pękła z hukiem i ciało runęło w dół, wzbijając tuman popiołu.